

## Kontrrewolucjoniści francuscy w Ameryce

**Rec.: Claude-François-Adrien de Lezay-Marnésia, *Lettres écrites des rives de l'Ohio*, Classiques Garnier, Paris 2019, 299 s.**

Claude-François-Adrien, markiz de Lezay-Marnésia (1735–1800) to postać dzisiaj mocno zapomniana. Bardziej pamięta się jego syna Adriena (1769–1814), dyplomatę i prefekta departamentu Dolnego Renu, który w 1810 r. witał na terytorium Francji Marię-Luizę, drugą żonę Napoleona, a w Strasburgu po dziś dzień można podziwiać jego piękny pomnik. Tymczasem zapomniany ojciec miał życie chyba ciekawsze niż syn. Arystokrata, żołnierz, kawaler orderu Św. Ludwika, przy tym człowiek oświecony, współpracownik *Encyklopedii* Diderota, dla której zredagował m.in. hasło poświęcone masturbacji (*manstupration*), pełne przestróg o chorobach, jakie może wywołać ten zgubny nałóg, markiz de Lezay-Marnésia wiódł bardzo przyjemne życie wielkiego pana aż do wybuchu rewolucji w 1789 r. A i wtedy ten pięknoduch zareagował w pierwszej chwili entuzjastycznie, nie tylko dał się wybrać jako przedstawiciel szlachty do Stanów Generalnych, ale też razem z czterdziestoma siedmioma innymi szlachcicami już 25 czerwca 1789 r. dołączył do obrad przedstawicieli stanu trzeciego po tym, jak ci przeszli do sali do gry w piłkę, gdzie wkrótce mieli się ogłosić Zgromadzeniem Narodowym. Zapał rewolucyjny markiza minął jednak, gdy 4 sierpnia zgromadzenie obaliło przywileje szlacheckie. W miarę zaś jak rewolucjoniści radykalizowali się coraz bardziej, Lezay-Marnésia jał poważniej myśleć o emigracji. Ale nie do któregoś z sąsiednich krajów europejskich, tylko oryginalniej — do Ameryki<sup>1</sup>.

A właśnie na jesieni 1789 r. nadarzyła się ku temu sposobność, gdy dwaj biznesmeni, Amerykanin Joel Barlow i Szkot

---

<sup>1</sup> To zresztą być może jedna z przyczyn, dla których dzisiaj tak słabo się go pamięta. Np. Ghislain de Diesbach w swej pomnikowej historii emigracji poświęcił mu tylko dwie krótkie wzmianki. Zob. G. de Diesbach, *Histoire de l'émigration 1789–1814*, Paris 1998, s. 492 i 507.

William Playfair<sup>2</sup>, otworzyli w Paryżu biuro Kompanii Scioto. Scioto jest rzeką w dzisiejszym stanie Ohio w Stanach Zjednoczonych. Kompania handlowa Barlowa i Playfaira miała do sprzedania trzy miliony akrów ziemi na jej brzegach i szukała we Francji kandydatów na kolonistów, gotowych zaryzykować daleką podróż w nieznane i związane z nią niebezpieczeństwa. Uprzedzając fakty, napiszmy od razu, że cała rzecz okazała się niestety wielkim szwindlem. Kompania Scioto reprezentowała w Paryżu interesy większej Kompanii Ohio, która dwa lata wcześniej uzyskała od Kongresu Stanów Zjednoczonych prawo pierwokupu ziem w regionie Scioto. Miała za nią zapłacić 2 000 000 dolarów w czterech ratach i poszukiwała inwestorów. W Ameryce nie było o nich łatwo, gdyż te dzikie ziemie, zamieszkane przez nieprzyjaznych Indian, nie budziły entuzjazmu potencjalnych nabywców. Dlatego kompania wysłała swych przedstawicieli do Europy. Przy tym Barlow i Playfair przedstawiali zainteresowanym Francuzom informacje bardzo przefiltrowane. Twierdzili, że kompania posiada już prawa własności ziemi, a nie jedynie prawo pierwokupu, a co ważniejsze nie wspominali nic o obecności Indian. Przedsięwzięcie można by zatem porównać do systemu Lawa z początku wieku, opartego również na sprzedaży miraży ziemi, ówczesnie w Luizjanie. W rzeczywistości było nawet jeszcze gorzej. Czego by poza tym o nim nie mówić, Law przynajmniej nie próbował oszukać swoich klientów. Nadto ludzie, którzy mu zaufali, utracili swe mienie, ale nie życie. Tymczasem Barlow i Playfair nakłaniali swoje ofiary do wyjazdu w dzikie kraje, gdzie łatwo mogła ich czekać śmierć z rąk tubylców.

Nie wszyscy Francuzi dali się zwieść. W 1790 r. ukazało się wiele broszur, artykułów i pamfletów, zarówno atakujących, jak i broniących kompanii Scioto, a w debacie wzięli udział ludzie z dużymi nazwiskami, np. Camille Desmoulins po stronie zdecydowanych przeciwników projektu oraz Jacques Brissot po stronie jego ostrożnych zwolenników. Niestety ta, skądinąd potrzebna, debata nie miała charakteru merytorycznego, lecz ideologiczny. Krytycy przedsięwzięcia nie badali wiarygodności kompanii, ale oskarżali, często niebezzasadnie, jej arystokratycznych klientów, że ci chcieli uciec z rewolucyjnej Francji po to, by odbudować w Ameryce Francję *ancien régime'u* z jej dopiero co obalonymi feudalnymi stosunkami.

---

<sup>2</sup> Ów Playfair był skądinąd wybitnym ekonomistą i statystykiem, pionierem wykorzystania wykresów i diagramów do prezentacji danych statystycznych.

Cóż, ci arystokraci byli zdesperowani. Terror się wprowadził jeszcze nie zaczął, ale poczucie zagrożenia było już wielkie i rosło z każdym dniem. Jednym z owych desperatów był markiz de Lezay-Marnésia. 14 stycznia 1790 r. kupił on od kompanii 21 000 akrów ziemi dla siebie i jeszcze 1000 dla swojej córki. Co więcej, markiz założył Stowarzyszenie Dwudziestu Czterech (*Société des Vingt-Quatre*), liczące oczywiście dwudziestu czterech członków, z których każdy zakupił 1000 akrów ziemi. I faktycznie stowarzyszenie to chciało odtworzyć w Ameryce mini-Francję. Markiz twierdził, że zakaże wstępu na swoje włości Amerykanom, którymi pogardzał, i nie przejmował się wyraźnie, jak też zareaguje na to rząd USA. Na swych ziemiach stowarzyszenie chciało zbudować dwa miasta, jedno dla właścicieli, feudalnych seniorów, a drugie dla pracowników mających uprawiać ziemię i w ogóle dbać o rozwój kolonii. Ponadto markiz przedsięwziął starania, by zawczasu uzyskać od papieża zgodę na utworzenie w kolonii biskupstwa. Zwykły ksiądz mu nie wystarczał, arystokratycznym emigrantom miał towarzyszyć na wygnaniu katolicki biskup. Niestety papież nie wyraził zgody na ten chimeryczny projekt. Co najważniejsze, Lezay-Marnésia pilnował, by — jako przyszłych pracowników — angażować wyłącznie prawomyślnych i cnotliwych katolików, na dowód czego kandydaci mieli przedstawiać zaświadczenia od swoich spowiedników. Ci naturalnie bez trudu oszukali naiwnego arystokratę, przedstawiając mu fałszyfikaty i dopiero w Ameryce okazało się, że zaokrętowali się z nim, według określenia młodszego syna markiza, Alberta, hrabiego de Lezay-Marnésia (1772–1857), przedstawiciele „najbardziej zwyrodniałej tłuszczy w Paryżu”<sup>3</sup>.

Nie był to jednak koniec nieszczęść. Po przybyciu na miejsce, 29 lipca 1790 r., markiz został wprowadzony przyjęty przez przedstawicieli najwyższych władz z prezydentem Washingtonem na czele, ale też dowiedział się wreszcie, jak naprawdę wygląda sytuacja zakupionych przezeń ziem. Nie wiemy dokładnie, jak wówczas zareagował, w każdym razie postanowił kontynuować podróż do Ohio. Na początku listopada dotarł wraz z towarzyszami do małego miasteczka Marietta, założonego ledwie dwa lata wcześniej i, co ciekawe, nazwanego tak na cześć królowej Marii Antoniny. Tu niestety, dobrych sto mil od brzegów Scioto, skończyła się jego podróż. Niczym biblijny Mojżesz, Lezay-Marnésia nigdy

---

<sup>3</sup> A. de Lezay-Marnésia, *Mes souvenirs*, [w:] Claude-François-Adrien de Lezay-Marnésia, *Lettres écrites des rives de l'Ohio*, Paris 2019, s. 252.

nie dotarł do ziemi obiecanej. Markiz początkowo zamierzał przezimować w Marietcie, a z nadejściem wiosny ruszyć w dalszą drogę. Jednak 3 stycznia 1791 r. nadeszła wiadomość o ataku Delawarów na położoną około 50 km na północ od Marietty kolonię Big Bottom. Bliskość zagrożenia przeraziła towarzyszy markiza i doprowadziła do scysji w Stowarzyszeniu Dwudziestu Czterech. Lezay-Marnésia zerwał stosunki ze swymi współnikami i oświadczył, że założy własną kolonię. Wiosną wycofał się dwieście mil na wschód i za ostatnie pieniądze kupił 400 akrów ziemi niedaleko Pittsburgha w Pensylwanii. Wydawało się, że jego perypetie dobiegły wreszcie szczęśliwego końca. Szybko się jednak okazało, że francuski arystokrata, pozbawiony pomocy robotników, którzy go opuścili, nie nadawał się zupełnie do roli amerykańskiego farmera. Surowy tryb życia tak mu dopiekł, że po niespełna roku sprzedał posiadłość i zdecydował się wrócić do Francji!

Lezay-Marnésia, który już w 1789 r. źle się czuł w ojczyźnie, powrócił do niej w czerwcu 1792 r., krótko przed upadkiem monarchii i proklamowaniem republiki. Już samo to jest zdumiewające i pozwala ocenić skalę jego porażki. Żył później jeszcze osiem lat i choć nie uniknął aresztowania i uwięzienia w okresie terroru, to przecież szczęśliwie nie został zgilotynowany. Umarł 9 listopada 1800 r. Pół roku później jego nazwisko zostało wykreślone z listy emigrantów, co umożliwiło jego dwóm synom zrobienie kariery w czasach cesarstwa.

Z dzisiejszej perspektywy najistotniejsze jest jednak to, że w trakcie swego pobytu w Ameryce markiz pisał listy do Francji, do różnych adresatów, próbując przekonać rodaków do emigracji. Trzy z tych listów wydał po powrocie do kraju. Musiało ich być jednak więcej, bo Lezay-Marnésia planował kolejne wydania, w których zamierzał znacznie poszerzyć zbiór tekstów. Niestety książka wydrukowana w 1792 r., została natychmiast zakazana przez cenzurę żyrondistów. Po raz drugi *Listy* ukazały się w 1800 r., roku śmierci markiza i przeszły zupełnie bez echa. Obecne wydanie jest trzecim z kolei i zarazem pierwszym od ponad dwustu lat. Redaktor naukowy wydania, Benjamin Hoffmann, opatrzył je obszernym wstępem oraz aneksami, wśród których znalazły się m.in. oryginalne prospekty reklamowe Kompanii Scioto, zachęcającymi Francuzów do zakupu ziemi w Ohio, wspomnienia Alberta, hrabiego de Lezay-Marnésia, spisane w 1851 r., w których skorygował rzeczowo niektóre z co większych fantazji swojego ojca, wreszcie fragment powieści *Modern Chivalry* z 1792 r., dzieła amerykańskiego autora Hugh Henry'ego Brackenridge'a,

w której pojawia się markiz de Lezay-Marnésia we własnej osobie. Brackenridge poznał go w 1790 r., a biedny francuski emigrant z pewnością nie przeczuwał wtedy, że dzięki temu spotkaniu stanie się w Ameryce bohaterem literackim.

Najważniejsze są jednak same listy. Adresowane kolejno do kawalera de Boufflers, do Bernardina de Saint-Pierre i do najstarszego syna Adriena, zawierają wizję idealnej kolonii, jaka marzyła się markizowi. Autor starannie pominął w nich wszelkie informacje mogące nasunąć adresatom podejrzenia o tym, jak naprawdę wyglądała jego sytuacja w Ameryce. Zamiast tego nakreślił obraz utopii. Lezay-Marnésia przed rewolucją był przecież człowiekiem oświecenia, współpracownikiem Diderota i wielkim miłośnikiem Rousseau. Czytając *Listy*, można odnieść wrażenie, że w pewnym sensie markiz padł wręcz ofiarą własnych lektur, w tym przede wszystkim wyniesionych z nich wyobrażeń o naturze „dobrych dzikusów”. Wydaje się, że jeśli Lezay-Marnésia dał się tak łatwo zwieść zapewnieniom Barlowa i Playfaira, to nie z powodu jakiejś szczególnej naiwności. Przeciwnie, markiz uważał, że przed wyjazdem starannie i sumiennie zebrał wszystkie niezbędne informacje o nowym świecie. Czyż nie przeczytał wielu książek o Indianach i ich przyrodzonej dobroci? Co ciekawe, wszystkie te stereotypy powtórzył w swych listach. Czytelnik współczesny może się tylko bezradnie zastanawiać, czy markiz świadomie kłamał, czy też do końca skutecznie wypierał prawdę o wrogich tubylcach i nie potrafił skorygować swych książkowych wyobrażeń nawet wtedy, gdy dzicy wojownicy zagroźili mu drogę do zakupionej przezeń ziemi. W każdym razie w *Listach* konsekwentnie pisał o łagodnych i mądrych Indianach, z utęsknieniem oczekujących przybycia Francuzów, którzy zechcą ich ucywilizować.

Drugi list, do Bernardina de Saint-Pierre, wskazuje jeszcze jedną inspirację utopijnej wizji markiza w pismach sławnego pisarza, którego zresztą Lezay-Marnésia osobiście nigdy nie spotkał. Projektowana przez niego kolonia miała nosić nazwę Saint-Pierre na cześć autora *Pawła i Wirginii*, a mieli ją zamieszkiwać bogaci właściciele i ich pracownicy, podlegli ścisłej hierarchii, jednak żyjący w organicznej harmonii. Utopia markiza miała charakter paternalistyczny zarówno wobec Indian, jak i chłopów przywiezionych z Francji. Lezay-Marnésia miał przy tym nadzieję, że z czasem rozrośnie się ona na całe Ohio, tworząc nowe francuskie miasta na wzór Saint-Pierre. W tych marzeniach pobrzmiewała

nostalgia za utraconym po wojnie siedmioletniej francuskim imperium w Ameryce.

Należy tu dodać, że choć projekt markiza był utopijny i zakończył się spektakularną klęską, to sam pomysł utworzenia w Stanach Zjednoczonych miejsc schronienia dla arystokratów i księży uciekających z Francji nie był bynajmniej absurdalny. Trzeba się było tylko do niego mądrzej zabrać. To, co nie udało się Lezay-Marnésii, udało się innym. Ci z jego towarzyszy, którzy zostali w Ameryce, założyli w 1790 r., z poparciem amerykańskich władz, miasteczko Gallipolis w Ohio, jednak dość daleko na wschód od terenów, jakie pierwotnie sprzedała im Kompania Scioto. Miasteczko to istnieje do dziś. Także w 1793 r., całkowicie niezależnie od wysiłków Lezay-Marnésii, grupa arystokratów dowodzonych przez Antoine'a Omera Talona, markiza de Boullay (1760–1811), założyła w Pensylwanii osadę bardzo adekwatnie nazwaną Asylum, gdzie znalazło czasowe schronienie ponad dwustu uciekinierów z Francji i z kolonii na Santo Domingo. Także i to miasteczko przetrwało do naszych czasów.

Projekt markiza de Lezay-Marnésia też mógł się powieść, gdyby jego autor był trochę większym realistą, a trochę mniejszym utopistą. Z drugiej strony, wówczas nie powstałyby *Listy*, bez wątpienia godne tego, by zająć poczesne miejsce wśród francuskich utopijnych tekstów o Ameryce i o jej rdzennych mieszkańcach, dobrych dzikusach. Wypada gorąco pochwalić inicjatywę Benjamina Hoffmanna oraz wydawnictwa Garnier, by przypomnieć ten zapomniany od dwustu lat tekst.

**Kamil Popowicz**  
(Uniwersytet Warszawski)